

Polacy się nie poddawali

– mówi gen. Jan Podhorski, ps. Zygzak, żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych i powstaniec warszawski ze zgrupowania Chrobry II w rozmowie z Wojciechem Wybranowskim



WOJCIECH WYBRANOWSKI: Mimo 98 lat nadal jeździ pan po Polsce, spotyka się z młodzieżą, kibicami piłkarskimi, opowiada o wojennych dziejach i tych losach po 1945 r., kiedy dopadła pana ucieczka i na osiem lat trafił pan do więzienia we Wronkach.

GEN. JAN PODHORSKI: Z każdym kolejnym wyjazdem w teren, z każdym kolejnym spotkaniem mówię sobie, że to już ostatnie, bo zdrowie nie dopisuje, sił czasem brak. Ale przychodzą kolejne zaproszenia od młodych ludzi, którzy chcą usłyszeć o kampanii wrześniowej czy naszej straceńczej walce w powstaniu warszawskim, o tym, co spotykało żołnierzy podziemia niepodległościowego po tym, gdy świat zachodni świętował już zakończenie wojny...

Zatrzymajmy się na chwilę przy powstaniu warszawskim. Napisał pan niedawno książkę „Wykłąty Wielkopolanin. Wspomnienia żołnierza pułku NSZ Sikora nie tylko z powstania warszawskiego”...

Wspomnienia z tych miesięcy walk na ulicach płonącej stolicy są wiecznie żywe. Śnią mi się twarze poległych kolegów, sanitariuszek, którym Niemcy strzelali w plecy, gdy niosły pomoc rannym. Wracają wraz z kolejnymi odchodzącymi kolegami. Często śni mi się

koszmar. To wspomnienie umierającej, na pół spalonej kobiety, ofiary wybuchu niemieckiego pocisku wystrzelonego z wyrzutni zwanej krową. Wracają w sennych koszmarach wspomnienia także jednej z najbardziej niebezpiecznych akcji, w których brałem udział w czasie powstania warszawskiego, czyli walkach o kościół Świętego Krzyża. To była jedna z moich pierwszych akcji powstańczych, w których brałem udział – nie wspominając oczywiście wcześniejszego ostrzeliwania Niemców. Zaczęliśmy tuż przed świtem, to była może godzina czwarta nad ranem, może ciut wcześniej. Nasz oddział działał po prawej stronie od ul. Świętokrzyskiej, zaatakowaliśmy Niemców i podjęliśmy walkę, która trwała blisko pięć godzin. Zaatakowaliśmy komendę policji i uwolniliśmy polskich policjantów.

Z pana książki wynika, że do powstania warszawskiego trafił pan nieco przypadkiem.

Tak, pan wie, że jestem Wielkopolaninem, ale po wejściu Niemiec w dawne Poznańskie i ogłoszeniu tzw. Kraju Warty musiałem uciekać. Trochę przemieszczałem się po Polsce, w końcu trafiłem na Mazowsze. Kilka dni

przed wybuchem powstania wyjechałem z mojego oddziału AK „Głuszc” do Warszawy, ponieważ kończyłem już tajną podchorążówkę, a w stolicy miałem zdać egzaminy końcowe na specjalności dywersja. Dojechałem bez problemów, zatrzymałem się u mojego dobrego kolegi ze Związku Jaszczurczego, Henryka Dutkowskiego. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem, że możliwy jest, i to w szybkim terminie, wybuch powstania. Nie ukrywam, że trochę zostaliśmy zaskoczeni, bo gdy 1 sierpnia poszedłem z Henrykiem do naszego punktu kontaktowego na ul. Czackiego, to okazało się, że walki już trwają. Sęk w tym, że w punkcie kontaktowym ochotników było bardzo wielu, ale broni dla nas zabrakło. W sumie kilkunastu żołnierzy NSZ udało się do komendy AK dowodzonej przez „Lewara”, który co prawda nie miał ludzi, nie zgłaszali się do niego, ale dysponował pewnymi zasobami broni i amunicji. A ja uzbroiłem się dopiero dzień później, po naszym ataku na gmach Poczty Głównej, który wsparliśmy granatami od strony Wareckiej. Dzięki temu nasi wdarli się do magazynów, gdzie było – według późniejszych szacunków historyków –

nawet do 300 sztuk broni oraz umundurowanie. W tym ataku zdobyłem pistolet maszynowy, stena, i karabin.

Brał pan udział także, już jako żołnierz batalionu Miłosz, w walkach, które toczyły się w okolicach budynku Sejmu.

Tak to było opisywane w późniejszych publikacjach. Ataki, o których pan mówi, to było około sześciu takich fal Niemców, którzy bardzo mocno zabezpieczali budynek parlamentu. Znienawidzony wróg miał silną przewagę, ale my – a nasze stanowisko mieściło się na ul. Wiejskiej 11 – przysięgliśmy sobie, że nie poddamy się bez walki. Polski żołnierz się nie poddawał. No i udało się. Tak średnio licząc, wyeliminowaliśmy – przy naszych stratach dwóch zabitych, jednym rannym (biorąc pod uwagę nasz pluton) – z walki ok. 30 Niemców.

Niemcy wspominający powstanie mówią często o brawurze polskich żołnierzy.

Ja z Niemcami stykałem się tylko na odległość strzału, nie prowadziłem z nimi żadnych konwersacji, więc trudno powiedzieć mi, jakimi byli ludźmi. Zresztą moim zadaniem było polowanie na niemieckich snajperów. A ci, z którymi zetknąłem się, gdy dostali się do polskiej niewoli, to już byli nagle bardzo pokorni.

Udział żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych w powstaniu warszawskim jest mało znany. Ba, niektórzy historycy, głównie lewicowych poglądów, twierdzą, że w czasie walk na ulicach stolicy narodowcy mordowali Żydów.

Bzdura. Straszliwe, nieprawdziwe kłamstwo. Przede wszystkim trzeba

podkreślić, że dowództwo NSZ w powstaniu warszawskim, choć zachowało własną strukturę organizacyjną, było taktycznie podporządkowane kierownictwu Armii Krajowej. Wreszcie, że większość z NSZ-owców była na froncie od początku powstania do jego zakończenia, czyli całe 63 dni. Ja sam z kolegami odgrywałem rolę osłonową już po upadku powstania, opuszczaliśmy Warszawę jako jedni z ostatnich. Mam nadzieję, że czas i historycy młodego pokolenia, wolni już od postkomunistycznych naleciałości, odkryją prawdę i przekażą ją opinii publicznej. A co do Żydów: przecież oni walczyli często w naszych oddziałach, u naszego boku. Wróg był jeden – Niemiec. I nie liczyło się, że ktoś jest Żydem czy Polakiem, ważne było, by bić wroga. W mojej ocenie najwięcej Polaków pochodzenia żydowskiego znajdowało się na Starym Mieście; mam tu na myśli więźniów z Gęsiówki, którzy dołączyli do Brygady Dyspozycyjnej Zmotoryzowanej i pomagali np. przy budowie barykad lub transporcie żywności. Oczywiście czytałem w jednej z gazet, jakoby na Starówce nasi żołnierze mordowali Żydów, ale to stek bzdur niemający żadnego uzasadnienia i zdementowany przez uznanych historyków. U mnie w plutonie był jeden Żyd, bardzo dzielny żołnierz. Był lubiany, wszyscy okazywali mu sympatię. Niestety nie przeżył wojny. Może gdyby pozostał w oddziale, ocalałby, ale w pewnym momencie przeszedł do pracy w PAP-ie i zginął jako korespondent wojenny. Odważny człowiek.

A ludność cywilna w Warszawie? Jak reagowała na wybuch powstania i jego przebieg?

Boleje nad każdą śmiercią niewinnego człowieka. Ale to też nie jest tak, że warszawiacy powstania nie chcieli. Przecież gros uczestników walk na ulicach stolicy to byli młodzi ludzie, cywile, bez większego przeszkolenia bojowego, którzy rwali się, by bić Niemca, by mścić się za swoich ojców, za bliskich, bo wierzyli w wolną Polskę. I taki duch był widoczny wśród cywilów, mieliśmy w nich duże wsparcie, dzielili się tym, co sami mieli, dbali o nas. Niestety z tygodnia na tydzień, kiedy okazywało się, że to straceńcza walka, że nie wyzwolimy Warszawy, ta wiara w sens powstania przygasła. Nasiliły się niemieckie zbrodnie, terror, zastraszanie. Bywały przypadki, że chcąc zatrzymać się na podwórzu którejś z kamienic, słyszeliśmy: „Idźcie stąd!”, „Wynocha!”. Mogło być mi tylko przykro. Ale wielu ludzi chciało po prostu przetrwać. Przecież – mówiłem o tym w rozmowie z historykami z Muzeum Powstania Warszawskiego – po upadku powstania, kiedy opuszczaliśmy stolicę, patrolowaliśmy i sprawdzaliśmy budynki, wtedy znajdowaliśmy w nich pozostawione przez rodziny niedołożne kobiety: mamy czy babcie, oraz inwalidów. To bardzo bolesne wspomnienie.

Walka o wolną Polskę skończyła się dla pana aresztowaniem przez UB i ośmioma latami więzienia w celi więzienia we Wronkach.

Ubecy przyszli po mnie nocą z 12 na 13 grudnia 1946 r. Nie spodziewałem się wówczas, że do domu wrócę dopiero po latach. Niczego nie żałuję.

PARASOL HISTORII
WSPOMNIENIE '44

PARTNER PROGRAMU: Muzeum Powstania Warszawskiego

ORGANIZATOR: MASPEX